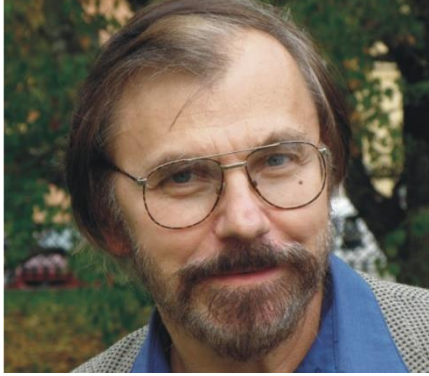


Listy do Pani A. (201)



Fot. Andrzej Dębowski

Róbta co chcę ja

Droga Pani!

Obserwując otaczający nas świat nabieram chęci ucieczki. Ale dokąd uciec przez palisady i zasieki głupoty, absurdów? W swoisty „tamten świat”, czyli we wspomnienia osób, które żyły w zupełnie innym czasie i okolicznościach. Pewnie było podobnie, głupoty ludzkiej nigdy nie brakowało, więc pewnie nam się tylko wydaje, że było lepiej, na zasadzie „wszędzie dobrze gdzie nas nie ma”. I nie było. Osobiście bardzo się cieszę, że nie żyłem w okresie wojny światowej, ominęły mnie ośrodki wczasowe w postaci obozów koncentracyjnych, nie tkwiłem w okupowanej Warszawie pełnej łapanek, podczas powstania. Nie maltretowali mnie sowicie ani bezpieka. Cieszę się również, że nie było mnie choćby dwieście, trzysta lat temu w czasie okrutnych wojen, epidemii, braku leków, a medycyna była w powijakach.

Wracam jednak chętnie do wspomnień osób, które żyły w innych, czy – pomimo wszystko – bardziej normalnych czasach. Mam na myśli książkę Zdzisława Morawskiego „Gdzie ten dom, gdzie ten świat”. Autorowi dane było żyć w okresie międzywojennym. Urodził się w arystokratycznej rodzinie, w majątku Maławieś, w domu przepełnionym wielopokoleniową tradycją, w otoczeniu ludzi kulturalnych, mądrych, jakich dziś już bardzo rzadko na co dzień się spotyka. Tam jawi się nam ówczesny świat ziemianstwa, sposób życia, myślenia, działania – jakże inny od dzisiejszego, mniej brutalny, choć i tam nie brakowało zdarzeń dramatycznych, kłopotów, zderzenia się z rosnącym już wtedy w siłę powszechnym chamstwem. Ale wówczas chamstwo traciło nieco rozpęd zderzając się z autentyczną kulturą szerokich warstw ziemiańskich oraz inteligentnych. Natomiast po wojnie, kiedy prawdziwą kulturę zastąpiono „socjalistyczną”, chamstwo się rozhułało. I to coraz bardziej hula do dziś. Bardzo ciekawa, wrzuszająca lektura, pozwalająca zapomnieć na chwilę o współczesnym jarmarku. Z pewnością odnalazłaby Pani w niej cząstkę bliskiego Jej świata.

Ze Zdzisławem Morawskim miałem przyjemność się zetknąć w redakcji „Życia Warsza-

wy”, z którym zaczynałem współpracę jako adept dziennikarskiego zawodu.

Podobnie ciekawe są wspomnienia Marii z Łubieńskich Górskiej. Tu przenieśliem się wyobraźnią do Woli Pękoszewskiej, i zacząłem dla odmiany żyć problemami, radościami i smutkami tamtej rodziny. Autorka urodziła się w roku 1837, zmarła w 1926, a więc opisuje dużo wcześniejsze czasy, niż Zdzisław Morawski. Ale wtedy świat nie zmieniał się tak błyskawicznie, nie tworzył tak olbrzymich kontrastów, a więc podczas lektury obu książek odnosi się wrażenie jakby to była jedna i ta sama epoka. Ogólnie biorąc wolałbym żyć wtedy. A najlepiej by było, gdyby wówczas istniały te udogodnienia i wynalazki, z których korzystamy dzisiaj. Internet, telefon, zwłaszcza komórkowy, samochód, autostrady, zaawansowana medycyna, która doprawdy dziś może czynić cuda... Jak dobrze, że mogę list, a nawet zdjęcia wysłać mailem, więc nie muszę biegać na pocztę... Mogę w zasadzie wszystko załatwić internetowo nie chodząc do sklepów czy urzędów. Ale coś za coś. Otoczenie byłoby przyjemniejsze, ale kłopotów więcej. Ale to nic. Dobrze, że nie muszę wybierać, tylko zgodzić się z zastaną rzeczywistością; to dopiero byłby problem!

Trzeba jednak cierpliwie patrzeć na otaczające nas realia, nie skakać od razu na łeb na szyję z mostu, jak dzwicyzna z pewnej z anegdoty. Oto panienska stoi na moście, podchodzi do niej menel (o, przepraszam: osoba w kryzysie nie wiadomo jakim) i proponuje: „może mały numerek przed śmiercią?” Dziewczyna oburzona: „nigdy w życiu!”. Na to facet: „dobra, w takim razie poczekam na dole”.

A jednak żal za czasami, w których niemal każdy znał swoje miejsce. Nawet duchowni. Coś się takiego porobiło, że obserwujemy wśród nich rosnące schamienie, absurdalne zachowania, myślenie główką zamiast głową, albo kompletny brak myślenia. Jakiś katabas namawia publicznie na zebraniu do rękoczynów, inny kradnie, albo gdzieś tam beczelnie zagradza ludziom drogę, bo – jak twierdzi – ludzie niewierzący nie mogą chodzić po poświęconej ziemi... Gdybym był biskupem, pogoniłbym całe to zbiorowisko głupców i chamów, złodziei i wydrwigroszów, zostawiając inteligentnych, myślących księży. O dziwo, są i tacy! Może w stanie duchownym zrobiliby się trochę pusto, ale na pewno z pożytkiem dla wszystkich. Co Pani o tym myśli? Prawdopodobnie to samo, co ja.

Jednak w sumie jest chyba nieźle. Wysuchałem niedawno wywiadu-opowieści Elżbiety Chadzinikolau, żony nieodżałowanego Nikosa, wybitnego poety, którego nie dość przypominać; matki Aresa, także świętego poety i muzyka. Były tam wspomnienia rodzinne, żywe związki z Grecją i żyjącymi tam kuzynami Nikosa, także z całą tradycją helleniską; związki autentyczne, kulturowanie najlepszych tradycji oraz wartości. Widać jak na dłoni, że kiedy owe związki są silne, to nie potrzeba całej zgrai psychologów rodzinnych, różnej maści, ideologów, co teraz jest bardzo modne. Opowieść Elżbiety Chadzinikolau była bogato inkrustowana grecką muzyką, frag-

mentami wierszy Nikosa. To była audycja wrzuszająca; budziła nadzieję, że ten świat ma sporo pozytywów. Przede wszystkim dlatego, że są ludzie, którzy pomimo wszystko usiłują zmieniać go na lepsze.

Może i ja będę miał na to nieco wpływu. Skończyłem właśnie roczne studium hipnozy i telepatii stosowanej. Mam teraz osobliwą umiejętność, którą mogę się posługiwać od pierwszego kwietnia. Poznałem metodę skłaniania ludzi do określonych zachowań za pomocą specyficznego spojrzenia. Tylko nieliczni znają tę metodę. To naprawdę działa. Teraz wszelkie wydawnictwa, redakcje, jurorów będę miał w kieszeni. A więc witajcie publikacje i nagrody.

Wypróbowałem to na ulicy. Według poznanych prawideł skoncentrowałem wzrok na idącym z przeciwka przechodniu. Ten zgodnie z moim nakazem, rzucił się na kolana i pocałował mnie w rękę niczym Tuwim Staffa. Choć z początku miałem pokusę, aby wybrać inną część ciała.

Innym razem w obcym mieście zaparkowałem samochód, a potem nie mogłem trafić do tego miejsca. Zaniekpokoiłem się trochę, ale od czego moje nowe umiejętności. Tak intensywnie skupiłem duchowe siły, że obcy człowiek, który mnie mijał, nagle powiedział: „auto jest w trzeciej przecznicy na prawo”. I tak było. Sam się temu bardzo dziwię, a nawet trochę niepokoję.

A Pani niech się nie lęka. Przysięgam, że wobec Niej umiejętności tych nie wykorzystam... A w najbliższym czasie odwiedzę parę wydawnictw i kilku redaktorów. Muszę zrobić też eksperyment, czy działa to na pogodę, ale chyba nie.

Zbliża się Wielkanoc. Jak Pani wie, bardzo mnie drażni ludyczny sztafaż: zajączki, baranki, koszyczki z rżarciem, na które łakomie patrzą mijane na ulicy psy. I tyle z tego pożytku. A kto się zastanawia nad istotą tych Świąt? Niosą one wielkie, metafizyczne przesłanie. Oto stajemy się wolni, duchowo zmarłych wstajemy. Tymczasem przyzwyczailiśmy się tylko do ich martyrologicznego wymiaru. Chrystus mógł nas zbawić na wiele innych sposobów. Ale chciał przypieczętować swoją śmiercią autentyczność głoszonych przez siebie prawd. Zbawił nas nie przez ogrom cierpienia, ale dzięki temu, że pozostał wierny człowiekowi. Pisała kiedyś Halina Bortnowska, że mogłby nas zbawić np. poprzez zerwanie róży, a skutek byłby identyczny. Piękna metafora! Jego męka, to konsekwencja głoszonego słowa, nie okrucieństwo Ojca. Widzi Pani, jak niejednoznaczne, a często zubażane w swojej istocie, są to święta; jak często sprowadzane do zabawy i zabobonu.

Patrzmy więc na nie szerzej, a przede wszystkim z perspektywy duchowej. I tego Pani (a także ustawicznie sobie) najserdeczniej życzę –

Stefan Jurkowski

